

AMANDA

A woman with long blonde hair, wearing a black lace dress and black high-heeled shoes, is leaning against a stone wall at night. In the background, a large black bear is walking towards her. The scene is lit with warm, golden light from street lamps.

R.E. STANIEK

AMANDA

R.E. Staniek

AMANDA

*Życie pełne oczekiwań i niespełnionych marzeń
Śmierć nagła i niespodziewana*

2017

**Korekta, skład i łamanie tekstu
oraz projekt okładki**



www.anatta.pl

Zdjęcie na okładce
photographee.eu

© Copyright by R.E. Staniek, 2017

ISBN 978-83-949767-1-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji
zabronione bez pisemnej zgody autora.

Pamięci Lotka

Wstęp

— Dzisiaj jest poniedziałek, trzynasty czerwca. Przewiduje się zachmurzenie małe lub umiarkowane, bez opadów. Jedynie nad samym morzem możliwość przelotnych, krótkotrwałych deszczów. Temperatura w dzień osiągnie maksymalnie dwadzieścia sześć stopni. Temperatura w nocy spadnie do... — Głos spikera radiowego rzeczowo i bez zająknięcia przekazywał pogodę na cały tydzień.

Młoda kobieta podeszła do okna i popatrzyła w górę. Na niebie widoczne były małe, pojedyncze chmurki. Ręce oparła na kaloryferze. Prawą dłońią ścisnęła termostat, lewą żeliwne żeberko. Po kilku sekundach jej dłonie stały się sine, a następnie białe jak kreda. Zdawałoby się, że cała krew odpłynęła z nich, pozostawiając prawie przezroczystą skórę. Termometr na oknie wskazywał dziewiętnaście stopni.

Chmury, chmurki, chmurzyska. Cumulus, cumulusy, cumulusowy... Na ile sposobów mogę przekształcić te słowa w języku polskim? Na wiele. W razie czego wymyślę jakąś końcówkę, dodam do słowa głównego i mam... cumulusiki. Angielski jest o wiele łatwiejszy. Cloud, cumulus, i tyle. Nic dziwnego, że na całym świecie ten język jest najpopularniejszy.

Z pokoju stołowego widok był wspaniały, co stanowiło jedyną zaletę tego mieszkania. Drugą mogłaby być jeszcze ta, że otrzymała je od matki za darmo. A jak wiadomo, darowanemu

koniowi nie zagląda się w zęby. Po matce przejęła również posadę nauczycielki języka angielskiego.

W oddali rozpościerał się pas zieleni. Jeszcze dalej widoczne były gdzieś tam domki jednorodzinne oraz droga szybkiego ruchu. Przy ładnej pogodzie, takiej jak dzisiaj, można było zobaczyć pasmo gór. Czasem rodzice zapraszali ją do siebie, w okolice Zakopanego, gdzie trzy lata temu kupili dom, by — jak mówiła matka — dożyć spokojnej starości.

— *I like my smoky Kraków* — wypowiedziała na głos.

— Minęło pięć minut po godzinie ósmej. — Ten sam miły i opanowany głos w radiu oznajmił jej, że powoli nadszedł czas na wyjście z mieszkania.

Puściła kaloryfer i rozcierając zeszywniałe palce, odwróciła się i weszła do kuchni, aby wyłączyć radio. Na ścianie, za drzwiami kuchennymi wisiał mały kalendarz, na którym nanosiła terminy na cały tydzień. O godzinie ósmej czterdzieści pięć zaczynała pierwszą lekcję języka angielskiego w gimnazjum. Uczyla młodzież po trzy, cztery godziny dziennie.

„Młodzież”! Jak trudno było jej się przyzwyczaić do tego słowa. Na początku swoich uczniów nazywała dziećmi, dopóki dyrektor delikatnie nie zwrócił jej uwagi: „Pani Tereso, w pewnym momencie nasze dzieci osiągają wiek, w którym nie możemy ich nadal traktować jak dzieci. Z reguły staje się tak między dwunastym a czternastym rokiem życia, pani Tereso”. Powtórzył jej imię, aby pokazać, jak ważna jest ta informacja. Skinęła głową na znak, że przyjęła ją do wiadomości. W gruncie rzeczy ma rację — pomyślała wtedy. W wieku czternastu lat nie życzyła sobie, aby ktoś ją nazywał dzieckiem.

Czasem dyrektor prosił ją o zostanie trochę dłużej, by porozmawiać o poszczególnych uczniach, którzy jego zdaniem sprawiają kłopoty i potrzebują fachowej pomocy. Niekiedy

udawało mu się ściągnąć delikwenta na rozmowę do gabinetu, w którym przypadkowo się znajdowała. Po chwili opuszczał gabinet, wyjaśniając, że ma jakieś ważne spotkanie, i prosił Teresę o przeprowadzenie dalszej rozmowy. W przypadkach drastycznych, takich jak rękoczyni, dyrektor był stanowczy. Uczeń stawał przed nimi z rodzicami.

Od południa pracowała w przychodni. Porady rodzicielskie stały się jej specjalnością. Na samą myśl o nich uśmiechnęła się.

Codziennie o godzinie dziewiętnastej w kalendarzu wpiisywała imię oraz miejsce. Cały tydzień miała dokładnie zaplanowany, jedynie w piątek o dziewiętnastej widniał duży znak zapytania nakreślony czerwonym mazakiem.

Sprawdziła, czy wszystko jest w porządku. Kuchenka i światło wyłączone. Udała się w kierunku drzwi wyjściowych.

Przechodząc obok garderoby, zatrzymała się i zrobiła krok do tyłu. Tak, teraz mogła podziwiać się w całej okazałości. Lustro w przedpokoju było wystarczająco duże, by objąć jej sylwetkę. Krytycznym wzrokiem przyglądała się sobie dokładnie.

Gdybym była Nim, co mogłabym w sobie jeszcze zmienić? Może kolor oczu albo wzrost, może twarz? Nie, nic z tego. Dziękuję, odwalileś kawał dobrej roboty!

Popatrzyła na zegar wiszący na ścianie. Wskazówka sekundnika zatrzymała się na kresce pokazującej cyfrę pięć. Zdawałoby się, że czas niczym ta wskazówka stanął w miejscu. Minęły trzy lata, odkąd tutaj zamieszkała.

Wszystko, co było wcześniej, nagle wydało jej się odległe i nierealne. Starła się wymazać tamten czas, zapomnieć, nie wracać już nigdy do niego pamięcią. Od tamtej pory zegar stał się klepsydrą, w której ktoś wymienił grube ziarenka piasku na drobne, przelatujące bez oporu do dolnej części.

Otworzyła powieki. Sekundnik zrobił wolny skok do przodu, zanim nabrał normalnego tempa. Tiiik-taaak. Tiik-taak. Tik-tak. Tik-tak.

Nigdy nie spóźniła się do pracy. Wręcz przeciwnie: przychodziła jako jedna z pierwszych. Pracoholiczka — jak ją być może nazywali inni za plecami. Co ona może poradzić, że lubi swoją pracę? Poza tym, gdyby spóźniła się na autobus, musiałaby czekać dwadzieścia minut na następny. Pieniądze, jakie dostawała? Nie, zdecydowanie nie! To, co zarabia, nie wystarczyłoby nawet w połowie na luksusowe życie, jakie prowadzi.

Jeszcze bardziej przysunęła się do lustra. Lewą ręką odsunęła kosmyk jasnych, wręcz słomkowych włosów z czoła. Niebieskie, duże, śliczne oczy przypatrywały się z uwagą jej twarzy. Wysokie czoło, smukła twarz, w brodzie delikatny, prawie niezauważalny dołek. Kształtne, zmysłowe, pomalowane na czerwono usta. Włosy zaczesane za uszy i związane w kucyk spadający na prawe ramię. W uszy wpięte delikatne klipsy, w których błyszcząły małe diamentyki ułożone w kształcie czterolistnej koniczynki.

— Wszyscy noszą dzisiaj kolczyki. Klipsy zakładały kobiety sto lat temu — śmiała się jej matka. — Moja koleżanka przekłuje ci uszy, nawet nie poczujesz bólu!

Nie wierzyła jej. Bała się bólu panicznie. Na widok strzykawkę, którą pielęgniarzka zbliżała do jej przedramienia, aby pobrać krew, o mało nie mdlała.

A więc pozostają staromodne klipsy. I basta!

Uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem. Dłonią wygładziła czarną, skórzaną kurtkę. Nogawki dzinsów wpuściła w wysokie, sięgające kolan buty na wysokich obcasach.

Spoglądała z góry na przechodniów, którzy często oglądali się za nią. Kobiety z zazdrością, mężczyźni z pożądaniem.

Spis treści

Wstęp	7
Rozdział pierwszy	
Londyn	17
Rozdział drugi	
Kraków. Podwójne życie	125
Rozdział trzeci	
Martyrium. Umieranie nie jest łatwą sprawą	173
Rozdział czwarty	
Zemsta bywa ślepa i okrutna	219
Epilog	
Przebudzenie	267

